

665

Muzyka



Bożena Zawiślak-Dolny *Carmen*, Krzysztof Bednarek *Don José*

Fot. Tomasz Degórski

Jan Stanisław Witkiewicz

Carmen w Operze Bałtyckiej

Maksymiuk i Zawiślak – olé!

Jerzy Maksymiuk coraz bardziej zmierzają ku wielkim formom muzyczno-wokalnym. Czasy Polskiej Orkiestry Kameralnej pod jego dyrekcją bezpowrotnie minęły. Kolejnym etapem w życiu Maksymiuka była – i jest nadal – wielka orkiestra symfoniczna BBC Scottish Symphony Orchestra w Glasgow, gdzie od jedenastu lat jest szefem i pierwszym dyrygentem. I ciągle mu mało. Zaczyna powracać więc tam, gdzie swoją karierę rozpoczął – do opery. Przez dwa lata (1970–72) prowadził orkiestrę Teatru Wielkiego w Warszawie dyrygując m.in. *Weselem Figara* Mozarta, *Trubadurem* Verdiego i *Koronacją Poppei* Monteverdiego.

W zeszłym roku powrócił do opery. Tym razem w Teatrze Wielkim w Poznaniu przygotował od strony muzycznej *Zemstę nietoperza* Johanna Straussa. Udziwnienia inscenizacyjne – łącznie z muszlami klozetowymi na scenie – spowodowały, że muzyka znalazła się jakby na dalszym planie. Recenzje oceniające pracę Maksymiuka były nad wyraz pochlebne, ale ogólnie spektakl został przyjęty nie najlepiej. Podkreślano jednak zgodnie muzyczną oryginalność interpretacji, wierność tradycji wiedeńskiej i stylowi Straussa.

Następna opera, którą Maksymiuk przygotował, to *Carmen* Georges Bizeta. Zrealizował ją z zespołem Opery Bałtyckiej w Gdańsku. Podobnie jak w wypadku *Zemsty nietoperza*, tak i tym razem Maksymiuk tę operę za kilka miesięcy zrealizuje w Anglii. Stąd wniosek, że teatry operowe w Polsce traktuje jako miejsce, gdzie może zmierzyć się z nowym materiałem muzycznym, który jednak naprawdę zrealizuje dopiero w Londynie. Jednak w operowych inscenizacjach naszych teatrów realizacje Maksymiuka zajmują miejsce szczególne. Są one zupełnie inne od dotychczas znanych, może dlatego, że do pracy przystępuje dyrygent z gotową koncepcją całego dzieła, a nie – jak to się namgminnie u nas dzieje – z poszczególnymi fragmentami.

Jerzy Maksymiuk doprowadził do tego, że orkiestra Opery Bałtyckiej – jedna z lepszych orkiestr operowych w Polsce – zabrzmiała w tym przedstawieniu chwilami wręcz rewelacyjnie. Okazuje się, że przy ogromnym zaangażowaniu – jak to Maksymiuk podkreślał – takie rezultaty są możliwe. Możliwe jest to, że orkiestra gra równo, że jest zachowana równowaga między poszczególnymi grupami instrumentów, że nie ma tzw. kiksów, że nawet blacha (problem wszystkich orkiestr u nas) brzmi do-

brze, że muzycy nie tylko uważnie słuchają siebie nawzajem, ale także tego, co się dzieje na scenie. Nic więc dziwnego, że frazy są nad wyraz piękne, wykonywane elastycznie i czytelne, że muzyka nawet w momentach kulminacyjnych jest wyraziście i nie tworzy złanej całości. Jest to zasługą nie tylko muzyków, ale przede wszystkim dyrygenta. Kolejny raz okazuje się, że w naszych orkiestrach drzemie spory potencjał, ale musi być on wydobyty przez odpowiednich specjalistów, którzy dokładnie wiedzą, czego chcą, i konsekwentnie do tego zmierzają.

Reżyseria Marka Sikory nie była na szczęście nowym odczytaniem *Carmen*, ale dosłownym przekazem tego, co zamierzał kompozytor i libreciści (Henri Meilhac i Ludovic Halévy). W ten sposób widzowie otrzymali dla wszystkich zrozumiałą opowieść o tragicznej namiętności Carmen i Don Joségo. Reżyser i scenograf Andrzej Szczerbań nie ustrzegli się jednak dwóch rażących błędów. Wnętrze gospody Lillas Pastii wygląda tak, jakby przedstawiało łazienkę, w której przez przypadek znalazł się bar. Podobnie w ostatnim akcie, gdzie chmury przesuwają się nie tylko po błękitnym niebie, ale i po dekoracji. To razi, tym bardziej że pozostałe akty reżyserko i scenograficznie są pieczołowicie dopracowane.

Razi również banalna i naiwna choreografia Krystyny Gruszkówny, która nie potrafiła zaproponować publiczności absolutnie nic nowego. Mamy więc te same, doskonale znane figury – Hiszpanki stojące profilem, lekko przegięte w tył, z rozpostartymi wachlarzami, panowie z uniesionymi rękoma, klaszczący w rytm muzyki. Gdyby jeszcze tancerze dobrze wykonali zadanie, to ta nijakość nie byłaby tak rażąca, ale zespół baletowy kierowany przez dyrektora Szkoły Baletowej w Gdańsku Bronisława Prądyńskiego okazał się akurat w tym wypadku mało profesjonalny, a nawet trącił prowincją.

Najlepiej wypadła odtwórczyni głównej partii Bożena Zawiślak-Dolny. Jest to Carmen, która od pierwszego pojawienia się, od habanery w pierwszym akcie całkowicie opanowuje i wypełnia scenę. Jej tempera-

ment, jej możliwości aktorskie, a nawet tancerne czynią z niej prawdziwą i przekonującą postać dramatu. Ta Carmen naprawdę jest nieokielzana, a przy tym tak uwodzicielska, że wszyscy poddają się jej bezwiednie. A przy tych wszystkich zadaniach aktorsko-tancerznych jakże wspaniale śpiewa! Bożena Zawiślak należy do niewielkiej grupy śpiewaczek, które samą barwą głosu, jego natężeniem i wszystkimi odcieniami potrafią przekonująco kształtować rolę. Skala głosu i technika wokalna stawiają ją wśród najlepszych polskich mezzosopranistek, obok Ewy Podleś i Stefanii Toczyskiej, a doskonale przygotowanie aktorskie wyróżnia ją spośród naszych najlepszych śpiewaków operowych. To wszystko świadczy o jej niepospolitym talencie (aż trudno uwierzyć, że nie kończyła żadnej akademii muzycznej), który w *Carmen* w pełni zaprezentowała.

Chwilami, szczególnie w ostatnim akcie, dobrym partnerem takiej Carmen był Krzysztof Bednarek, ten stateczny sierżant, narzeczony Micaëli. Również inni wykonawcy pozostali w cieniu Bożeny Zawiślak, a szczególnie Aleksandra Kucharska-Szeffler próbująca zmierzyć się z partią Micaëli, której szczególnie w wyższych rejestrach nie mogła podołać (brak podparcia). Poziom pozostałych wykonawców był dość wyrównany.

Barbara Żurowska-Sutt, dyrektor opery gdańskiej, udowodniła tym przedstawieniem, że stać ją nie tylko na zapraszanie wspaniałych wykonawców, ale także stworzenie przedstawienia jeśli nie wybitnego, to na pewno wyróżniającego się poziomem. W praktyce realizuje system pośredni między *stagione* a teatrem etatowym, na który to temat toczy się dyskusja także na naszych łamach. I być może jest to jedyna możliwa dziś droga, jaką powinny iść nasze teatry operowe.

Georges Bizet *Carmen*, kier. muz. Jerzy Maksymiuk, reż. Marek Sikora, scen. Andrzej Szczerbań, kost. Anna Michniewicz, chor. Krystyna Gruszkówna; Państwowa Opera Bałtycka w Gdańsku, premiera 17, 18 września 1994